ZNAKI ŻYCIA

Tom I



Wioletta Milewska

Wioletta Milewska
„Znaki życia. Tom I”

Copyright © by **Wioletta Milewska**, 2017
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Korekta i redakcja: **Bożena i Janusz Sigismundowie**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Ilustracje na okładce: © **ngocdai86 – Fotolia.com**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-7900-725-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Mojemu promykowi słońca – Angelinie
oraz Alexandrowi,
który pokazał mi jasną drogę.
Z miłością.

I

Pierwsza trzydzieści dziewięć.
Dzisiaj nieźle. Trzy długie godziny. Gdybyż tak jeszcze i w drugim podejściu udało się co najmniej tyle osiągnąć, byłby to miesięczny rekord. Sześć godzin. Szczyt marzeń.

W każdym razie celem absolutnie niezamierzonym było bicie rekordów w wątpliwie atrakcyjnej dziedzinie męczącej bezsenności. Przeciwnie. Przez niespełna dziewięć ostatnich lat wdrażane były wszelkie kolejno poznawane sposoby, od błahego liczenia owieczek po stosowanie mantr, które według polecających je fachowców, były skuteczne jak żadne inne w odnajdywaniu drogi do świata snów.

Niestety, ani zażywanie środków nasennych, przynajmniej tych ogólnie dostępnych i, co ważne, podobno nieuzależniających oraz niepowodujących skutków ubocznych, ani wprowadzenie cudownych technik oddychania nie były w stanie ostatnimi czasy przywrócić na dłużej niż dwie noce nieprzerwanego, przynajmniej sześciogodzinnego snu.

Ta noc nie była wyjątkowo jasna. Jeśli już, to nie w takim stopniu, by naświetlenie zakłócało nocny odpoczynek, jednak księżyc zaglądał bezlitośnie przez grube firany sypialni i zdawał się umyślnie przypominać, że oto idzie ku kolejnej pełni, jakby ta cenna informacja była niezbędna do prawidłowego funkcjonowania po nocy ubogiej w sen.

Gdzieś na drugim końcu wioski, jak na komendę, rozszczekały się psy i już było jasne, że jutro ktoś odkryje jakąś stratę.

Ginęły zwykle małowartościowe dobra, jak drwa na opał ze słabo zabezpieczonych szopek i choć ogólnie wiadomo było, kto przykładał rękę do powyższego, nikomu nie starczyło wytrwałości, by wyczekać i na gorącym uczynku przyłapać złodzieja.

Malwina wcale nie zamierzała analizować poszczególnych przypadków zaginięcia opału. Chciała bowiem jak najszybciej i spokojnie zasnąć. Pomimo jednak mocno zamkniętych oczu, czuła piasek na źrenicach, a pod powiekami widziała dziwną jasność, która ani trochę nie odpowiadała tej rzucanej przez przekorny księżyc.

Niepokoiło ją to zjawisko.

Nie potrafiła sobie nijak wytłumaczyć, dlaczego po zaciśnięciu powiek wydaje jej się, że dookoła jest jaśniej niż w rzeczywistości. Może zaczyna świrować i mózg płata jej figle. Jeszcze trochę i zacznie widzieć osoby i przedmioty, które faktycznie nie istnieją.

Schizofrenia? Początki jakiejś innej choroby psychicznej? W jej rodzinie pełno było dziwolągów, ale nie bardziej pomylonych niż pozostali przeciętni zjadacze chleba.

Dziwne było, na przykład, rozumowanie bezrobotnych osób, które, tak zresztą wychowane, zwykły były twierdzić, iż wszelkie zapomogi im się po prostu „należą" i, co dziwne jeszcze bardziej, w całej tej filozofii nie było nawet cienia chęci podjęcia pracy.

Pracy, która przecież – poza samą ludzką godnością, należącą się tym ludziom podobnie jak psu zupa – przyniosłaby dochód znacznie większy niżeli GOPS-owskie zapomogi bądź parafialne datki otrzymywane od proboszcza.

Teraz trzeba się było porządnie wyspać. Nie zaprzątać sobie głowy żadnymi niepotrzebnymi myślami o cudzym drewnie, własnych niedomaganiach czy lenistwie. Zasnąć i śnić piękne, kolorowe sny, po których się nabiera sił fizycznych, optymizmu oraz energii życiowej.

Już w tej chwili wiedziała, że niełatwo będzie to osiągnąć.

Po pierwsze – czuła jak bije jej serce, a to nie powinno zwracać uwagi, chyba że przyłoży się rękę do klatki piersiowej. A skoro bicie serca czuła, znaczyło to, że bije ono nieprawidłowo.

Po drugie – jej oddech był bardzo płytki i nierówny, a prawda jest taka, że by móc zasnąć, trzeba bezwzględnie przywrócić go do normy, czyli oddychać miarowo i głęboko jak podczas snu.

Po trzecie – miała już całkiem spore doświadczenie wielu podobnie nieprzespanych nocy.

Najpierw pięć bardzo głębokich oddechów. Wdechy zdawały się przebiegać prawidłowo, natomiast wydechy były drżące i nierówne. Dopiero ostatni oceniła jako satysfakcjonujący. Czuła, jak płuca rozpychają jej żebra, a klatka piersiowa unosi się i opada miarowo. *A teraz dwadzieścia równomiernych, ale nieco płytszych od poprzednich, spokojnych oddechów i przekonanie siebie, że nie ma żadnego zagrożenia... Ale to żadnego zagrożenia! Nie teraz i nie tutaj!*

Podczas tego ćwiczenia wciągała rześkie powietrze, wymieszane z lekką, egzotyczną wonią balsamu do ciała, którym przed pójściem do łóżka starannie nawilżyła skórę. Przestała liczyć gdzieś przy dziesiątym razie. Myśli uciekły gdzie indziej. Jak zwykle. Pomimo to nadal oddychała głęboko i starała się skupić na tej czynności oraz potrzebie snu. Ulicą przemknął samochód. *To Bochucki na pierwszą zmianę. Zaraz piąta.*

Po kilku, może kilkunastu, następnych oddechach w końcu zasnęła.

II

Wiktoria była mistrzynią w dyscyplinie systematycznego odbierania sobie słusznie należnych zasług. Nie dość tego. Celowo brała na siebie zamierzone bądź niezamierzone występki innych w nadziei, że dobrotliwy Bóg, jakkolwiek Go pojmować, kiedyś wynagrodzi jej po stokroć wszelkie „przysługi", jak również liczne krzywdy, którymi od zawsze ją „nagradzano".

Lubiła również dobierać słownictwo tak, aby nie urazić, co nie daj Boże, swojego rozmówcy. Za to wszystkie pogardliwe zwroty kierowała pod swoim adresem. W myślach, oczywiście.

Z tego właśnie względu wolała nazywać otrzymywane kary nagrodami i zdawało się, że tylko ona jedna wiedziała, ile z nich było niezasłużonych w ogóle lub zasłużonych przez kogoś innego.

Nauczyła się zresztą, a raczej została nauczona, iż nie warto walczyć o swoje, bo to kosztuje dużo energii, a dóbr własnych i tak nie ma szans odzyskać.

Jeśli przecież ktoś stwierdzi, że należy się za coś rozliczyć, zrobi to bez upierdliwego napominania, tak jak zrobiłaby to ona sama. W przeciwnym razie nie pomoże żadne sygnalizowanie, bo wiadomo, że o wiele przyjemniej i łatwiej jest czerpać korzyści, niż za nie płacić.

Jednak pomimo tego wszystkiego, żywiła Wiktoria złudną nadzieję – więcej – złudne przekonanie, że takim samym sposobem myślenia kierują się wszyscy. Wszak wszyscy, biorąc pod

uwagę jej najbliższe otoczenie, zostali wychowani w tym samym kraju co ona, chodzili do szkół wpajających im takie same normy i obyczaje, mieszkali w takich samych domach, w których obowiązywała ta sama kultura oraz wierzyli w tę samą religię.

Tak. Wierzono w religię. Bo choć każdy wierzył rzekomo w tego samego Boga, to ten sam Bóg, w przypadkach poszczególnych ludzi, na co innego pozwalał, co innego rozumiał jako dobre i moralne, stosował dodatkowo różniące się między sobą systemy kar i nagród, a właściwie różniące się między sobą nagrody za takie same zasługi, jeśli przyjąć, że kar Miłościwy wszakże nie stosuje.

Ale teraz wszystko miało się zmienić. Teraz będzie jej lżej, bo do domu, który dotąd musiała utrzymywać sama, wprowadzał się właśnie Tomek z Agatą, więc spodziewać się można było sporego odciążenia, jeśli chodzi o koszty utrzymania pięciopokojowego budynku. Poza tym taki dom był zdecydowanie zbyt duży dla filigranowej dwudziestodziewięciolatki z dzieckiem.

No właśnie.

Obecność dziecka nie wykluczała w jej życiu faceta, ba, nawet ją potwierdzała – jakieś jedenaście lat temu. Jednakże osobnik ten żył poniekąd własnym życiem.

Bywał zresztą w życiu Wiktorii i Elizy dość regularnie. Na tyle regularnie, na ile pozwalały mu jego liczne „obowiązki" wobec rozlicznych znajomych i nie mniej licznych członków rodziny, a także wobec pracy. Tak więc służył wszelką pomocą każdemu, kto tego potrzebował, zupełnie pomijając w tym dziele kobietę i dziecko.

Tymczasem na noc zjawiał się zawsze, a w niedziele i święta bywało różnie. Zdarzały się bowiem i takie niedziele, kiedy to należało niezwłocznie służyć komuś pomocą, a wtedy, trzeba przyznać, nie spędzał czasu z rodziną. Jeżeli w ogóle można tak określić wspomniany układ.

I to zawsze miała mu Wiktoria za złe.

Jednak bez słowa skargi każdorazowo znosiła ciężar odważnie i przejmowała jego obowiązki z męstwem, wierząc, że przynajmniej w ten sposób będzie w stanie przysporzyć mu odrobinę szczęścia.

Na różne sposoby próbowała odgadnąć jego potrzeby, a jednak nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, co robi źle, że jej mężczyzna woli przebywać w towarzystwie pozbawionym jej osoby.

Należało pomagać. Temu dziewczyna nigdy nie przeczyła i starała się nie okazywać każdorazowo swojego niezadowolenia po usłyszeniu hasła typu: „Jadę do Maćka", pomimo braku dodatkowych informacji, dotyczących na przykład zakresu planowanych prac czy czasu przewidzianego na ich wykonanie. Przeczyła natomiast przekonaniu, iż pomagać należy każdemu, zawsze, z reguły bezpłatnie, „bo nigdy nie wiadomo, czy nie będzie potrzebna czyjaś pomoc" oraz zaniedbując obowiązki własne wobec domu i rodziny.

Jak nietrudno się domyślić, nie miewała Wiktoria wiele czasu wolnego przeznaczonego dla siebie. Miała za to czas wolny, który poświęcała rąbaniu drewna, naprawianiu sprzętu AGD i każdego sprzętu, który tego wymagał, a na co pozwalały jej umiejętności. Trzeba też było doprowadzić do przyzwoitego stanu narzędzia używane przez Ksawerego, a zawsze pozostawiane w miejscach, w jakich były ostatnio potrzebne.

Była sobota. W dni bezdeszczowe, jak dzisiaj, kosiła Wiktoria trawę. I tak było również tym razem. Aby mieć zadbany trawnik, nie mogła sobie pozwolić na odkładanie tego zajęcia na potem. Rano kosić się nie dało, bo rosa sklejała ze sobą źdźbła, a to uniemożliwiało wrzucanie ich do kosza.

Ranek zatem przeznaczony został na cotygodniowe porządki, z myciem podłóg włącznie, a teraz, kiedy rosa już opadła, kobieta wyprowadziła urządzenie z szopy, położyła je na boku i zabierała się do ostrzenia noży.

Pilnik przepadł.

Celowo po poprzednim użyciu położyła go na murku tuż przy wejściu, obok wykonanego ze starych drzwi wspartych na kołkach blatu warsztatowego.

Nienawidziła tracić czasu na szukanie. Zwłaszcza narzędzi, bo te najczęściej zmieniały swoje położenie lub po prostu znikały. Co do pilnika była zupełnie pewna. Położyła go właśnie tam i dobrze zapamiętała miejsce, żeby nie trwonić na szukanie czasu, który można wykorzystać pożytecznie na efektywne zajęcie.

Jedyny przyzwoity pilnik. Pilnik. Już samo słowo jej obrzydło. *Gdzie ten zdechły pilnik?!*

Cenne minuty bezpowrotnie mijały, kosiarka czekała, leżąc na boczku niczym rasowy plażowicz na ciepłej leżance, a Wiktoria przeszukiwała poszczególne zakamarki w poszukiwaniu narzędzia, którym zamierzała się posłużyć w celu umożliwienia sobie dalszej pracy.

Nie chodziło bynajmniej o to, że nie mogła przełożyć koszenia na poniedziałek. Chodziło o to, że, po pierwsze, w poniedziałek mogło padać, niezależnie od prognoz, więc z koszenia nici, po drugie, kosiarka miała szerokość około trzydziestocentymetrową, natomiast powierzchnia wymagająca koszenia wynosiła jakieś dziesięć arów. Aby podołać jej całej, podzieliła ją Wiktoria na cztery części i jedną z tych części poddawała zabiegowi koszenia danego dnia. Po trzecie, trawa, jako forma żywa, rosła.

I tutaj można by wrócić do rozmiarów maszynki.

Doświadczenie nauczyło Wiktorię, że nie powinna sugerować się potencjalną możliwością przejęcia monotonnego obowiązku strzyżenia trawy przez Ksawerego bądź zakupienia przez niego sprzętu, który mógłby tę czynność usprawnić. Postanowiła sama o to zadbać i pieniądze, które otrzymała jako prezenty urodzinowe, wydała na najmniejszą maszynkę, jaką mieli wówczas na stanie w punkcie sprzedaży.

Na nic większego nie wystarczyło, ale dziewczyna była wielce zadowolona z możliwości doprowadzenia trawy do wyglądu, według niej, normalnego.

Ksawery oczywiście uwielbiał posługiwać się tego rodzaju urządzeniami i zapewne chętnie skosiłby trawę kilka razy, po czym odstępy pomiędzy kolejnymi zabiegami wydłużałyby się coraz bardziej, bo Ksawery należał do gatunku osób, które się szybko nudzą i równie szybko potrzebują odmiany, czyli innego zajęcia oraz innego narzędzia. Najlepiej nowego, żeby nie trzeba było konserwować i naprawiać poprzednio używanego.

Ksawery miał jeszcze jeden talent, jeśli chodzi o posługiwanie się narzędziami.

Otóż bez względu na to, jakie to były narzędzia i do czego służyły, bardzo szybko je po prostu „uśmiercał". Innymi słowy doprowadzał je do stanu nieużywalności zupełnej lub używalności ogromnie ograniczonej.

Mając tę wiedzę, Wiktoria postanowiła nie powierzać kosiarki w ręce, które, co z góry wiedziała, wykończyłyby maszynkę prędko. Zresztą, jako nabyte za pieniądze stanowiące jej własne prezenty urodzinowe, urządzenie było w istocie j e j prezentem urodzinowym i tak powinno być traktowane, a więc używane wyłącznie przez obdarowaną.

Mogłam przecież za te pieniądze zakupić buty. Oj, jakież to by były buty! Skórzane na pewno. Może na wysokim obcasie. Niekoniecznie na bardzo wysokim, ale sześcio-, siedmiocentymetrowym? Czemu nie? Albo zimowe. Takie cieplutkie. Na kożuszku. Chyba by wystarczyło. Musiałyby być praktyczne? Chyba nie. W końcu to prezent. A przede wszystkim, gdybym kupiła sobie buty, tylko ja jedna mogłabym ich używać. Ot co!

Takie oto myśli zaprzątały jej głowę w czasie niepotrzebnych poszukiwań pilnika z plastikową żółtą rękojeścią.

Minęło z piętnaście minut, a pilnika jak nie było, tak nie było.

W tym czasie Wiktoria starannie przeszukała już wszystkie możliwe miejsca, w jakich tylko pilnik mógł się znajdować, doprowadzając je przy okazji do porządku. Leżące na blacie klucze montażowe włożyła do skrzynki, pozbierała rozsypane na ziemi gwoździe i ulokowała je w starym żółtym garnku, który wydawał się jej właściwszy, w porównaniu z foliową torebką, z której zostały wydobyte bez rozwiązania supła. Samą torebkę, porwaną na strzępy, wcisnęła do kieszeni z zamiarem wyrzucenia jej do śmietnika. Żeby nie dreptać niepotrzebnie tam i z powrotem, postanowiła umieścić ją tam, gdy będzie w pobliżu pojemnika.

W tym momencie jej wzrok padł na stary, zgięty pilnik, użyty pewnie do podważenia czegoś ciężkiego lub niedającego się łatwo otworzyć, przez co nabrał obecnego kształtu oraz stracił rękojeść.

Nie ma wyjścia. Spróbuje tym. Lepszy rydz niż nic.

Oczywiście, że się wkurzyła. Była wściekła.

– Piętnaście minut szukania, żeby naostrzyć durne noże w kosiarce. Przecież to trwa ze dwie minuty. Piętnaście do dwóch. Jeśli ludziska pracują tak efektywnie jak ja, nie ma co się dziwić, że gospodarka funkcjonuje, jak funkcjonuje.

– Mamusia! Luzik! – wyrwał ją z rozmyślań o stanie ekonomicznym kraju dźwięczny, dziesięcioletni głosik i Wiktoria, niemal przestraszona, stwierdziła, że ostatnie zdanie widocznie wypowiedziała na głos.

– Wstawić już kawę, mój Papaju?! – Elizka dobitnie przypomniała o nieuchronnie upływającym czasie, bo przyjęło się, że o dwunastej następuje tu rytuał picia kawy, o ile można to tak nazwać.

Dziewczynka kończyła mycie wychodzącego na podwórze kuchennego okna, zaś przez kilka ostatnich chwil przyglądała się matce, nerwowo toczącej nierówną walkę z pilnikiem zupełnie niespełniającym swojej funkcji i uparcie przekręcającym

się na bok przy każdej próbie dociśnięcia go do ostrzonej powierzchni.

– A która godzina? – zapytała Wiktoria, niedowierzająco spoglądając w stronę tarczy słonecznej. – Niemożliwe, że już tak późno.

Dziecko odwróciło głowę i przechyliło się nieco na parapecie, zerkając na znajdujący się wewnątrz zegarek.

– Piętnaście po! – odrzekła melodyjnie szczupła istotka o długich ciemnoblond włosach zebranych w kucyk. Jej błękitne oczy świdrowały matkę, niecierpliwie wyczekując na odpowiedź, kobieta zaś zła, że straciła tyle czasu, spoglądała to na córkę, to na kosiarkę.

– Okej. Tylko skończę z tym barachłem i już do ciebie pędzę – rzuciła, po czym wykonała jeszcze pilnikiem, pożal się Boże, po kilka krótkich ruchów posuwisto-zwrotnych na każdą ze stron noża. Starała się na tyle, na ile pozwalało wygięcie przyrządu, uprzednio uzbroiwszy go w prowizoryczną rękojeść wykonaną z rękawicy roboczej. Następnie, cała spocona z nerwów i, w równej części, od bezlitosnej temperatury powietrza, które teraz, w południe wiosennego dnia, nagrzało się do stu dwunastu stopni Celsjusza, ruszyła w stronę domu.

Przywitał ją przyjemny chłód pomieszczenia i ciepły uśmiech dziewczynki.

Dom należał do opornych, jeśli chodzi o możliwość dogrzania go zimą, jednak, dzięki pięćdziesięciocentymetrowej grubości ścian zewnętrznych, i latem w środku panował chłód. Wchodząc więc do kuchni, odczuwała Wiktoria przyjemną ulgę i tę zasygnalizowała, wzdychając teraz ciężko.

– A czemu nie poprosisz, żeby ci naostrzył noże? – zagaiła ściszonym głosem Eliza, stawiając na stole filiżankę gorącego, aromatycznego płynu.

Sobie zaparzyła owocowej herbaty i jej kubek z niebieskim słoniem, który kiedyś wygrywał melodyjkę, a po paru myciach

„zamilkł", pysznił się teraz na środku kuchennego stołu tuż obok małego talerzyka, wypełnionego maślanymi herbatnikami oraz dwoma, przydzielonymi przez dziewczynkę, morelowymi cukierkami w czekoladzie.

– Kogo niby miałabym o to poprosić, Skrzatku? Widzisz tu może kogoś poza nami dwiema? – matka próbowała przydać nieco humorystycznego tonu swojej markotnej wypowiedzi, czerpiąc łyżeczką cukier z cukierniczki.

– Posłodzona – oznajmiła nastolatka, po czym rozsiadła się na krześle, podkładając pod pupę podwiniętą nogę. – Mogłaś mu przecież wczoraj powiedzieć. Rano mógł chyba zostać parę minut. Raczej by tam bez niego nie zginęli.

Od prawie dwóch tygodni pomagał Ksawery swojemu bratu w remoncie pokoi dla dzieci, więc niewiele czasu zostawało mu na dbanie o stan urządzenia, którego i tak nie używał.

Wiktoria rozejrzała się po pomieszczeniu. Remont kuchni zaczęli przed ośmiu laty. W pierwszym roku zdarli starą farbę, po czym Ksawery rzucił tynk i gładź szpachlową na część ściany zajmowaną uprzednio przez poniemiecką płytę kuchenną z dużym kaflowym piecem oraz leżanką, pod którą ulokowano piekarnik do chleba i ciast.

Konstrukcja zajmowała poważną część kuchni, a że od lat była nieużywana i samą płytę przykrywała cerata, nie było sensu, by monstrum zabierało miejsce, więc zostało zburzone. Dziurę w posadzce, zamiast zalać betonem, przykrył Ksawery grubą płytą pilśniową, a Wiktoria zakamuflowała wykładziną, ale nierówność pozostała i uginała się przy chodzeniu.

Prace zarzucił Ksawery na kolejne dwa lata, po których, przy pomocy Wiktorii i po jej ustawicznym naleganiu, położył płyty gipsowo-kartonowe na ściany zewnętrzne oraz wyrównał je gładzią gipsową i na tym poprzestał. Po miesiącu przerwy w remoncie kobieta zażądała wniesienia nielicznych mebli na swoje miejsce, uznając czas potrzebny na prace, których

pomieszczenie wymagało, za zakończony. Nawet gdyby liczyć go podwójnie.

A trzeba przyznać, że w czasie remontu dziewczyna nie siedziała z założonymi rękami.

Wszystko, co było trzeba, przynosiła i wynosiła, z naciskiem na to drugie, bo o ile z przynoszeniem rzeczy mężczyzna radził sobie niezgorzej, to wynosić ich jakoś nie lubił. Wiktoria czyściła i myła narzędzia, ponieważ co do konieczności wykonywania tych czynności nie zawsze byli z Ksawerym zgodni. Poza tym nabywała część narzędzi, by po paru użyciach traciły swój żywot, bo Ksawery to był silny chłopak.

Kupowała również goldbandy, rotbandy i gładzie szpachlowe, w zależności od sygnalizowanych potrzeb, a także wynosiła i wyrzucała goldbandy, rotbandy i gładzie szpachlowe nabyte przed dwoma laty, a przeterminowane, zbrylone i nienadające się już do użytku. Sprzątała cierpliwie po każdym kolejnym dniu, opornie idących i pełnych narzekań na dolegliwości fizyczne Ksawerego, prac. Zamiatała, odkurzała, myła, zdrapywała, czyściła, wycierała oraz szorowała, a także przynosiła, wynosiła, donosiła i odnosiła.

W takim oto stanie kuchnię podziwiała Wiktoria w tej chwili. Nie można było nie dostrzec tu nienagannego porządku, jednak szpetne ściany sprawiały, że nie było tu specjalnie przyjemnie. Było wręcz wyjątkowo nieprzyjemnie.

– No i właśnie wczoraj mu powiedziałam – wytłumaczyła się kobieta. – Ale już było ciemno i mu się nie chciało – dodała, po czym upiła łyk z naczynia.

Kawa robiła jej dobrze. Piła wolno, wodząc oczami za córką, która podniosła się z miejsca, by sięgnąć po książkę.

Milczały.

Ciepły płyn upijany łyczkami z ulubionej porcelanowej filiżanki, na której boku widniał motyw różowego anemona, przyjemnie spływał przełykiem i wpadał do żołądka, niczym

skuteczne antidotum na wszelką niesprawiedliwość. Antidotum takowego, jak powszechnie wiadomo, jeszcze nikt nie odkrył, zatem, jako środek zastępczy, stosowano tu i ówdzie kawę.

Bo co do panującej wokół niesprawiedliwości żadnych wątpliwości Wiktoria nie miała. Nawet związek, w którym tkwiła, był encyklopedycznym przykładem niesprawiedliwości, czego dało się dowieść zwykłym wykresem typu „za – przeciw", gdzie po stronie „za" była tylko jedna, najwyżej dwie, pozycje.

Jako punkt pierwszy i najważniejszy, przyjąć należało fakt, że Wiktoria go kochała.

Co do wzajemności... no cóż, z czasem coraz bardziej była przekonana, jaka to była wzajemność, bo jeśli już ten facet ją kochał, to na pewno nie tym uczuciem, które dziewczyna definiowała jako miłość. Jeśli jednak była to miłość, to jakaś dziwaczna, chroma i powikłana oraz niedająca się w żaden ze znanych sposobów podporządkować definicji tego uczucia.

Wiele, wiele razy kobieta zarzekała się, że zacznie poświęcać delikwentowi dokładnie tyle czasu, ile on poświęcał jej, i zrobi dla ich wspólnego dobra ni mniej, ni więcej, tylko tyle, ile czynił on.

Niestety, najzwyczajniejsze sumienie nie pozwalało jej na tak drastyczne zaniedbania wobec domu i rodziny, a przede wszystkim w odniesieniu do własnego dziecka, któremu wpajała przecież takie same zasady, jakich nauczyła się od własnej matki i które sama przez to nauczanie znała.

Jedną z nich, można powiedzieć: przewodnią, była ta mianowicie: „Jak tobie ciężko coś zrobić, to pamiętaj, że komuś innemu jeszcze ciężej!". Lepiej więc, że tobie jest ciężko, niż ciężko miałoby być komuś innemu.

Od jakiegoś czasu coraz bardziej wątpiła Wiktoria w słuszność twierdzenia, według którego rosłemu osiłkowi miało być, i na pewno było, ciężej wykonać konkretne zadanie, wymagające użycia siły fizycznej, niżeli drobnej kobietce, choćby ta nie wiadomo jakiej była kondycji.

Jednemu nie można było przeczyć.

Przez długie lata postępowania zgodnie z matczyną maksymą, wyrobiła sobie Wiktoria całkiem przyzwoitą kondycję, a mięśnie miała tak rozbudowane, że Elizka, przekomarzając się, nazywała matkę Papajem. Używając tego określenia, dziewczynka miała na myśli oczywiście wygląd powyższej postaci po spożyciu porcji szpinaku niezbędnej w uzyskaniu tak charakterystycznej sylwetki.

Wiktoria jadła szpinak może dwa razy w życiu, a jednak miała wyśmienicie rozbudowane zarówno mięśnie ramienno-promieniowe oraz zginacze łokciowe nadgarstków, jak też poszczególne mięśnie obłe, nie wspominając już o mięśniach brzucha, tak prostych jak i poprzecznych. I z tych ostatnich była najbardziej dumna, ponieważ były dobrze, a jednak nieprzesadnie wyrzeźbione, pomimo iż nigdy w życiu nie odwiedziła siłowni, a i na treningi nie chadzała.

Wszystkie partie mięśni zostały ukształtowane pod wpływem rozlicznych zajęć fizycznych, do których okazji nie brakowało, a i ludzie, z Ksawerym na czele, sposobności do tych robót jej nie odbierali.

Bo głos matki w głowie Wiktorii ustawicznie przypominał, że im wszystkim, jakkolwiek by na to patrzeć, byłoby znacznie ciężej!

Drugi odnośnik w iluzorycznej tabeli dotyczył Elizy.

Wiktoria nie chciała, by jej dziecko wychowywało się bez ojca, tak jak wychowywała się ona, bo wiadomo, że lepiej jest ojca mieć, jakikolwiek by on był, niż nie mieć w ogóle. Nie żeby kobieta ojca nie miała. Ojciec jej był natomiast tak zajętym sobą osobnikiem, że nie starczało mu czasu dla własnych dzieci.

Nawet kiedy jeszcze z nim mieszkali, bywało, że znikał na kilka dni, po czym wracał do domu taksówką i żądał, by matka zapłaciła za kurs. Działo się tak mniej więcej po trzech – czterech dniach po wypłacie i oznaczało, że środki z niej się właśnie

skończyły. Trwało to do dziesiątego roku życia Wiktorii, bo potem już razem nie mieszkali.

Ojciec był jednak pewnego rodzaju autorytetem, wzorem mężczyzny, głowy rodziny, jaki dziewczyna utrwaliła gdzieś w podświadomości i taki to wzór przyjmowała za słuszny, bo swój, znany i doświadczony. Podświadomie też wybrała sobie za mężczyznę życia Ksawerego, bo miał wiele cech jej własnego ojca, którego tak samo bardzo chciała mieć, jak on nie chciał mieć jej.

Nie mogła powiedzieć, że ojciec był przeciwny jej urodzeniu. O takiej możliwości nigdy nie słyszała i nie sądziła, by w ogóle mogła mieć miejsce. A jeśli nawet tak było, to nikt jej o tym nie mówił. Człowiek ten jednak być ojcem zwyczajnie nie potrafił, a dopiero dużo, dużo później dziewczyna się dowiedziała, dlaczego tak było oraz jakie piętno wycisnęło to na niej samej i jak wpłynęło na jej całe życie.

Przekonała się, że to nie fakt braku męskiego rodzica wypalił to znamię, lecz ogólna opinia, która wyciska trwały ślad w psychice niczemu niewinnych sierot.

Eliza z szelestem przewróciła kartkę książki i to wyrwało jej matkę z głębokiej zadumy. Spojrzała na naczynie z kawą, następnie upiła kolejny łyk i przeniosła wzrok z powrotem na córkę.

Dziewczynka miała na sobie ładnie podkreślający barwę jej tęczówek niebieskoszary top oraz krótkie spodenki z ciemnoszarej bawełnianej dzianiny, które czasy swojej świetności miały już za sobą, a w początkach swojego istnienia były czarne. Były jednak czyste i całe, co Wiktoria uznawała za priorytet, jeśli chodziło o stan garderoby, bo o ile nie każdego stać na nowe ciuchy, to każdy ma tak samo zbudowane kończyny górne, to znaczy wyposażone w przeciwstawny kciuk i pozostałe palce, wobec czego wszyscy mają jednakowe warunki i możliwości, by prać, szyć oraz prasować ubrania.

Teoria ta – jak wiele innych zresztą – została przekazana jej przez matkę, a że praktyka bywała inna, było na ogół widoczne, jako że nie każdy chciał korzystać z tego daru natury.

Niedaleko trzeba było szukać przykładu.

Aby uprać ubrania Ksaweremu, należało wieczorem schować je starannie w miejscu, w którym by się ich nie mógł spodziewać, ponieważ samo umieszczenie odzieży w koszu na brudną bieliznę nie oznaczało absolutnie niemożliwości jej wyszperania i dalszej ich eksploatacji. Nie należało za to również oczekiwać najmniejszej wdzięczności w słowach albo tylko w gestach. Zamiast tego wysłuchiwało się następnego ranka żalów i narzekań zakończonych podsumowaniem w rodzaju: „jeszcze było czyste".

Wiktoria już nie tylko nie czekała na choćby przejaw zadowolenia, ale i podejmowane przez lata próby wyegzekwowania od Ksawerego standardowych „dziękuję", „proszę", „przepraszam" już jakiś czas temu zarzuciła i jeszcze tylko sporadycznie przypominała, tak jak przypomina się kilkulatkowi, co należy powiedzieć, gdy na przykład coś od kogoś dostanie.

Ponieważ ta strategia nie przyniosła żadnych owoców, kobieta zmieniła ją i wdrożyła plan B. Plan B opierał się na zasadzie: „nie możesz pokonać wroga – przyłącz się do niego".

Było to trudne do wprowadzenia. Wymagało bardzo dobrej pamięci i dbałości o szczegóły. Należało bowiem w analogicznych sytuacjach używać podobnego słownictwa, wygłaszać zbliżone komentarze i uwagi, a przede wszystkim stosować taką samą mimikę i gestykulację. Wskazane było ponadto, by wypowiedzi, gesty i czyny trochę przejaskrawić, a to wymagało nie lada talentu aktorskiego.

Nie chodziło o jakąś zemstę czy bunt. Chodziło ciągle o to, by pokazać, które zachowania są odbierane jako przykre, znajdowania ich, o ile było to możliwe, u siebie, a po stwierdzeniu, że są idiotyczne – korygowania.

Skutek był na szczęście przewidywalny. Niestety, na dwa sposoby. Oczekiwać można było albo znacznej poprawy, albo nieznacznego pogorszenia. A zatem, statystycznie, gra warta była świeczki.

We wspomnianym przypadku Wiktoria osiągnęła nieznaczne pogorszenie. A następnie – nieznaczne pogorszenie pogorszenia. Po czym eskalacja nastąpiła jeszcze kilka razy, doprowadzając obiekt do stanu niereformowalnego. A chciała dobrze.

– Kawa ci wystygnie – Wiktoria usłyszała gdzieś z oddali głos córki. – A może ja kawałek skoszę? Przecież nic mi się nie stanie – dodała po niedługiej przerwie.

– Jeszcze tego brakowało, żeby ci się coś stało! – oburzyła się matka. – Widziałaś kiedyś w jakimś filmie, żeby dzieci kosiły trawę? Chyba w horrorze. – Tą wypowiedzią uznała się za wygraną.

– W filmach to ja widziałam, że faceci koszą trawę. – Elizka przytaknęła głową na znak przyznanej sobie racji. – I widziałam, że czasami zatrudniają do tego innych facetów, ale ani razu nie widziałam, żeby robiły to kobiety. Chyba w komedii.

Co to dziecko czyta? Wiktoria próbowała dostrzec tytuł książki. Niestety, nie udało się, bo tomik leżał na krześle stojącym obok zajętego przez dziesięciolatkę i stół zasłaniał znaczną część książki.

– Teraz jest za gorąco na dworze. Skosimy pod wieczór – zawyrokowała kobieta. – Może uklepiemy ciasto? – Uznała, że dzięki temu dziewczynka nie poczuje się niedoceniona.

– Super! – ucieszyła się Eliza. – Murzynka! Proszę! – Zrobiła zadziorny dzióbek, mający zwiększyć znaczenie prośby.

– No dobrze, ale trzeba długo czekać, aż polewa wystygnie i potem...

– Dziękuję! – Córka podskoczyła radośnie, a następnie żywo podbiegła do Wiktorii i cmoknęła ją w policzek.

– Cukier, masło, kakao – dobiegało z otwartej szafki, w której przechowywane były niektóre z wymienionych składników ciasta.

III

Pierwszą jego kolekcję odkryła przed niemal dziewięcioma laty. Dokładnie osiem i pół roku temu.

Wtedy to oznajmił, że musi pilnie skoczyć do Karola, a ona – trochę w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia na czas jego nieobecności, bo bieżące obowiązki własne w gospodarstwie już wykonała, a trochę z poczucia zwykłej przyzwoitości – zdecydowała się zrobić coś z pożytkiem dla ogółu.

Tak więc, zamiast oddać się lekturze jakiejś ciekawej książki i odpocząć sumiennie, po rozważeniu, co efektywnego mogłaby uczynić w to zimne październikowe popołudnie, poczłapała do stodoły. Była to zupełnie typowa, pokryta czerwoną ceramiczną dachówką, wielka drewniana stodoła, w jakie wyposażone zostało w czasach pruskich każde niemal gospodarstwo w Pietruchach.

Przestępując wysoki próg wykonany z grubego dębowego bala położonego na podmurówce, weszła do środka przez wąskie drzwiczki, rozejrzała się i zdecydowała, że nie będzie czekać aż jej mąż zechce doprowadzić wnętrze budynku do powierzchownego porządku.

Na klepisku piętrzyły się trzy spore kopce zboża. Ponieważ mężczyzna zajmował się przygotowywaniem śruty dla inwentarza, czerpał wiadrem z dowolnej kupy, zgodnie z tym, jaki skład paszy chciał uzyskać i pozostawiał każdą z nich w takim stanie, w jakim zastała je kobieta. Wszędzie było pełno rozsypanych ziaren.

Podgarnęła zboże. Każde na swoją kupkę.

Jesienią zapas ziarna każdego z trzech gatunków był jeszcze całkiem pokaźny, by potem, im bliżej wiosny, coraz bardziej się kurczyć. Teraz jeszcze, zarówno pszenica, jak i jęczmień oraz mieszanka występowały w ilości zapewniającej ich inwentarzowi wieprzowemu pożywienie mniej więcej do końca roku kalendarzowego.

Włożyła rękę aż do łokcia w kopiec pszenicy i wyciągnęła z głębi całą garść ziarna. Jego temperatura zdradzała, że zboże, zbyt późno posiane i zebrane w stanie nie do końca dojrzałym, jest jeszcze wilgotne i wymaga ponownego, ręcznego, przerzucenia.

Spojrzała na zawartość dłoni. Ten widok jej nie zachwycił. Uczucie, jakiego teraz doznała, dalekie było od zachwytu.

Prosiła wczesną wiosną, jeszcze przed wszystkimi zabiegami uprawowymi, żeby choć w tym roku prace polowe wykonywał o czasie i uzasadniała, jak potrafiła, że terminowość owych prac ma ogromne znaczenie, jeśli chodzi o ilość plonu i jego jakość oraz podatność roślin na wszystkie choróbska.

Dowiedziała się w zamian, że jeszcze za mokro, a po miesiącu przekonała się naocznie, że ich pole było znowu zdecydowanie najmokrzejsze spośród wszystkich okolicznych połaci, bo mąż ruszył z pracami jako ostatni.

Nie potrafiła go przekonać. Wiadomo, że trudno zabrać się do zajęcia, które wykonuje się po raz pierwszy i właściwie nie ma się pojęcia, jak oraz w jakiej kolejności należy to robić. Ale Błażej wychowany w gospodarstwie ogólnie wiedział, jak uprawiać glebę.

Z czasem nabrała przekonania, że robi jej na przekór. Nie wiedziała jeszcze wówczas dlaczego, ale wkrótce miała się o tym przekonać.

Postanowiła, że przerzucanie ziarna zostawi sobie na jutro. Ponieważ właśnie włożyła nieco wysiłku w podgarnięcie zboża

i zamiatanie klepiska, przesypując teraz całą pszenicę sprawiłaby, że dotychczasowa praca, choć niespecjalnie ciężka, poszłaby na marne.

Zamiast tego zdecydowała uporządkować siano.

Nie żeby siano, jako takie, można było uporządkować. Bo niby jak? Jednak spora ilość źdźbeł osypywała się zwykle przy zrzucaniu kostek siana z sąsieka i pokrywała sporą część klepiska.

Kobieta rozejrzała się za starymi drewnianymi grabiami, które wisiały zwykle na belce, zahaczone o nią zębami. Teraz ich tam nie było.

Nie było ich również w żadnym innym widocznym miejscu, więc zaczęła brodzić w sianie i rozgarniać grubą warstwę źdźbeł nogami uzbrojonymi w wieloletnie gumofilce, rozmiar trzydziesty dziewiąty, opierając się prawą ręką o drewniane przepierzenie, za którym znajdował się sąsiek.

Oprócz pięciu worków po śrucie, dwóch wąskich, niedługich desek, zgniecionej paczki po papierosach i wielu rozerwanych sznurków plastikowych, pochodzących ze wspomnianych kostek siana, a przegryzionych widocznie przez myszy albo szczury, nie znalazła nic.

Wszystkie przedmioty, rzucane bez zastanowienia przez męża, pozbierała i posegregowała. Worki równo zawiesiła na młynku do mielenia zboża, a sznurki wepchnęła do plastikowego worka po moczniku, do którego zbierała systematycznie wszystkie sznurki znalezione w stodole.

Do tego samego worka wrzuciła folię ściągniętą z paczki po papierosach, a sam papierowy kartonik i obie deski powstałe, jak stwierdziła, przykładając do siebie dwie części, z jednej większej, rzuciła pod próg. W ten sposób na pewno nie zapomni ich zabrać, wychodząc.

Grabi nie znalazła ani na klepisku pod sianem, ani na sąsieku.

Uparła się jednak i zdecydowała, że się nie podda dopóki poszukiwanej rzeczy nie odkryje i postanowiła wdrapać się

na stertę kostkowanej słomy górującej nad przylegającym do niej sianem. Jeśli i tam grabi nie będzie, to przynajmniej z góry łatwiej wypatrzy bawiące się w chowanego narzędzie.

Kobieta była dobrze wygimnastykowana, ponieważ już jako kilkuletnia dziewczynka musiała nauczyć się robić gwiazdę, a nawet mostek „ze stojaka" i w żadnym razie nie pokazywać, że się boi, bo przecież: „Nie umiesz? To ty nie córka Tadzika!". A każdy przecież chce być dzieckiem swojego ojca.

Dlatego umiała.

Teraz też poszło jej całkiem sprawnie. Drabinka miała pięć szczebli i chwiała się na boki, więc ostrożnie, mocno przytrzymując się przepierzenia, a potem, już bez pomocy drabinki, solidnie wbijając stopy pomiędzy kolejne warstwy ułożonych kostek słomy i chwytając się drewnianych belek, wspinała się w górę zwinnie niczym Kobieta-Kot.

Różnica polegała jednak na tym, że kobieta nie uważała się za wyjątkowo piękną, a czarny, skórzany strój, fantastycznie opinający ciało bohaterki filmu, zastępowały wygodne ortalionowe spodnie w kolorze niebieskim i wypłowiała czerwona kurtka z ocieplanego watoliną płótna, natomiast głowę chroniła przed chłodem i kurzem czapka z kremowej dzianiny ozdobiona równie kremowym, małym pomponem.

Stopy tkwiły w gumofilcach równie brzydkich, co praktycznych, bo ciepłych i nieprzemakalnych. A do tego, Bóg jeden wie, ile już razy owo paskudne obuwie dzielnie ochroniło przed mniejszymi lub większymi uszkodzeniami kończyn dolnych właścicielki. Nawet kiedy pewnego razu krowa nadepnęła jej na nogę, nie bolało aż tak bardzo. Bolałoby o wiele bardziej, gdyby miała wtedy na nogach tenisówki albo – broń Boże – sandały.

Figury, natomiast, Malwina nie zazdrościła specjalnie ani żadnej znajomej, ani samej Halle Berry.

Bardzo sprawnie dotarła na samą górę, otrzepała ubranie ze słomy, która się na nim osadziła podczas wspinaczki i, niczym

myszołów wypatrujący zdobyczy, pilnie przeczesywała wzrokiem każdy zakamarek wnętrza budynku.

W pewnym momencie ze swojego punktu obserwacyjnego dostrzegła, że pomiędzy drewnianym niewysokim przepierzeniem z dębowych desek a stertą siana ułożonego z równych kostek, jest mała, może trzydziestocentymetrowa szczelina, w którą grabie, owszem mogłyby wpaść, niechcący strącone z belki, na której wisiały zwykle, a dziś ich brakowało.

Podejmując ten trop, równie ostrożnie jak poprzednio w górę, oraz wykorzystując podobną, dobrze sprawdzoną metodę, zeszła na klepisko. Zauważyła przy tym, że ta sama droga zajęła jej tym razem więcej czasu i stwierdziła, że o wiele łatwiej jest piąć się w górę, niż schodzić w dół.

Ponownie otrzepała kurtkę i spodnie, a nawet zdjęła czapkę i po usunięciu z niej kilku przyczepionych słomek strzepnęła ją kilkakrotnie, po czym założyła z powrotem na głowę. Pomyślała jednak, że cały rytuał był niepotrzebny, bo za chwilę cała odzież na powrót oblepi się sianem.

Drewniane, półtorametrowej wysokości przepierzenie sięgało prawie połowy szerokości przestronnej stodoły. Kobieta zajrzała z boku za konstrukcję. Było tam sporo luźnego siana, co jej zupełnie nie zdziwiło, zaś w odległości mniej więcej trzech metrów od niej leżała jakaś listwa, która grabiami być nie mogła. Nie powinna jednak tam spoczywać i kobieta postanowiła ją wydostać.

Zauważyła, że stojący przy drewnianej ściance worek ze śrutą jest dziwnie wygnieciony i całkiem spłaszczony. Tak jakby długo na nim siedziano lub stano, przez co zawartość się ubiła.

Przemknęła jej myśl, że jej nieskory do roboty mąż, zamiast ochoczo podgarnąć zboże albo zgrabić rozrzucone siano czy choćby zebrać leżące gdzie popadnie papierowe worki po koncentratach paszowych, podczas czekania aż młynek zmiele kolejną porcję ziarna, zasiadał sobie wygodnie na miękkim worku i cierpliwie na nim trwał.

Malwina zrozumiała, że dlatego mielenie zajmowało mu więcej czasu niż jej. Bo trzeba przyznać, że choć rzadko, to jednak mełła zboże. Z tą jednak różnicą, że ona nadążała nie tylko z dosypywaniem ziarna do zbiornika. W czasie mozolnego i czasochłonnego procesu rozdrabniania zbierała oraz sortowała rozrzucone wokół worki, zamiatała krzywe klepisko czy choćby zgarniała do odpowiedniej kupy rozsypane przy nabieraniu wiadrem złocistoszare ziarna poszczególnych gatunków zbóż.

W zamyśleniu, lewą nogą stanęła pewnie na rozpłaszczonym worku, prawą sprawnie odbiła się od glinianej posadzki i szybko podciągnęła na rękach do góry, by wejść na przegrodę i przewiesić się przez nią. Dzięki takiej pozycji łatwiej jej będzie dosięgnąć i wydobyć sterczącą poniżej listwę.

W tej chwili jednak nastąpiło coś, przez co zrezygnowała ze swojego zamierzenia i opuściła swój ciężar z powrotem. Stanęła na worku i wnikliwie taksując wzrokiem górną krawędź przegrody, stwierdziła, że już przed nią ktoś wpadł na pomysł przewieszania się przez ściankę. Była ona bowiem wypolerowana na długości około metra, dokładnie nad workiem, podczas gdy całą resztę pokrywał grubą warstwą pył powstający podczas mielenia i osadzający się nie tylko w płucach osoby obsługującej młynek i osób przebywających w jego pobliżu. Osadzał się on także, niewybiórczo, na wszystkich elementach konstrukcyjnych stodoły.

Kobieta przeanalizowała logicznie rzecz.

Gdyby ktoś stawał tu nogami, w kurzu odbiłyby się ślady butów. Tymczasem spora powierzchnia była czysta, tak że albo tu siadano, albo się kładziono, a wziąwszy pod uwagę wyciśnięty nieopodal odcisk dużej dłoni, z którym krótko porównała swoją, znacznie mniejszą, był to mężczyzna.

Odcisk prawej ręki po prawej stronie Malwiny wskazywał jednoznacznie, że opierający się był skierowany twarzą ku sąsiekowi, czyli dokładnie tak jak teraz ona. Gdyby bowiem ów ktoś, czyli Błażej, na ściance siadał, musiałby być zwrócony

w kierunku odwrotnym, a wtedy prawa dłoń odcisnęłaby się po lewicy Malwiny.

Możliwe, że za deskami zrobił sobie schowek na piwo i popija sobie w ukryciu. To by wyjaśniło, dlaczego ona zdąża przemleć kwintal zboża w godzinę, a jemu na taką samą ilość nie starcza czterech godzin.

Wściekle zdenerwowana na męża, a jednocześnie zadowolona i dumna z siebie po pierwszej tak satysfakcjonującej i fachowej, wręcz detektywistycznej analizie, oraz ucieszona, że nie wybrudzi sobie kurtki, podciągnęła się ponownie na rękach i przewiesiła przez przepierzenie tak, że głową zwisała w dół.

Szerokość dębowej ścianki w górnej, wzmocnionej balem, części wynosiła nie więcej niż piętnaście centymetrów, więc pozycja do wygodnych nie należała. Na szczęście udało się wyciągnąć wspomniany kawałek drewna.

Tak uzbrojoną ręką było kobiecie zdecydowanie łatwiej rozgrzebywać spoczywające poniżej luźne, suche źdźbła, w których spodziewała się odnaleźć nieszczęsne, poszukiwane narzędzie bądź ukryte przed jej wzrokiem piwo. Już pierwszy ruch zapowiadał sukces. Krótka listwa zaczepiła bowiem o coś, co z pewnością sianem nie było. Postanowiła to wydobyć.

Dla lepszej równowagi zaparła się solidnie, głowę docisnęła do sprasowanych kostek i ponownie zamieszała ściskanym w ręce fragmentem łaty.

Niestety, widok znaleziska jej nie zachwycił, choć spowodował wyrzut adrenaliny daleko większy, niż ten, którego spodziewała się doświadczyć po wydłubaniu starych, drewnianych grabi, a nawet całej zgrzewki piwa. Mianowicie widok, który podziwiały w tej chwili jej stare, dobre źrenice, wywołał u niej najprawdziwszy, największy i zresztą najbardziej wyrafinowany, jakiego w życiu doświadczyła, szok.

Już bez pomocy złamanej łaty i nie zważając na okropnie niewygodną pozycję, prawą ręką wydobywała spod siana po kilka

sztuk świecących, kolorowych czasopism i ciskała je na klepisko, lewą zaś przytrzymywała się mocno drewnianego dyla. Po przerzuceniu przez przegrodę ostatniego eksponatu, sprawdziła jeszcze dokładnie, czy na pewno nic nie zostało i, podpierając się rękami, wydobyła się z wąskiej szczeliny.

Było jej niedobrze. Po pierwsze, od kilku minut wisiała głową w dół, po drugie, znalezisko wywołało u niej coś w rodzaju kaca moralnego, jakby to ona sama umieściła barwną prasę w tym oryginalnym schowku. Przez krótką chwilę myślała nawet, że żywot jej dobiega końca.

Jak w kalejdoskopie, dokładnie tak jak to podobno dzieje się tuż przed śmiercią, całe życie przeleciało jej przed oczyma.

Nagle wszystkie pasujące do siebie kawałki trafiały na swoje miejsce i układały się samoistnie, jak za sprawą dobrego programu komputerowego. Wszystkie istotne wydarzenia z przeszłości, które, zdawało się, poszły w niepamięć, wydobywały się teraz uparcie z podświadomości kobiety i budowały jakąś swoistą rzeczywistość.

Wówczas nie wiedziała jeszcze, że obrazy, które w tych parę chwil władały jej biednym umysłem, nie pozwalając na normalne funkcjonowanie, będą ją prześladować przez długi czas i będą miały tak istotny wpływ na jej dalsze życie. Życie, które dokładnie w tym momencie straciło sens.

Nie wiedziała, jak długo stała na klepisku, obserwując swoje znalezisko.

Co do jednego nie miała wątpliwości. Dobrze wiedziała, kto jest właścicielem szokującego odkrycia, tak jak wiedziała, że hobby takowe było niczym innym, jak tylko pielęgnowaniem rodzinnych tradycji, jeśli w ogóle tak to można nazwać.

Kobieta, po otrząśnięciu się z pierwszego szoku, który wywołał tak silne drżenie całego jej ciała, że nie mogła go żadnym sposobem opanować, pozbierała wszystkie gazety do jednego z pustych worków i zdecydowała, że zaniesie je do domu.

Zwykle kreatywna i zorganizowana, nie miała pojęcia, co teraz powinna zrobić i jak postąpić.

Tym bardziej że trwał właśnie remont komina i zatrudniona przez nią brygada w liczbie dwóch osób pracowała pieczołowicie na dachu.

Wychodząc, niefortunnie potknęła się o leżące przed progiem deski, które sama tam wcześniej rzuciła. Pot zmieszany ze łzami wściekłości zalewał jej oczy, przez co, jak na ironię, zawadziła o jeden z kawałków tarcicy i całym ciężarem runęła na ziemię, rozbijając sobie solidnie prawe kolano.

Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że ulegając zwykle takim niegroźnym upadkom, zawsze uszkadzała sobie część ciała mieszczącą się po jego stronie prawej.

Nie miała odwagi, żeby spojrzeć w kierunku budowlańców. Taszczyła worek ze zdobyczą, jakby niosła w nim skradziony właśnie z budynku kościelnego Najświętszy Sakrament i to ona sama to przykazanie złamała.

Weszła do domu i ściągnęła buty, a na nogi nasunęła kapcie. Następnie, nie zdejmując kurtki, bo komin w remoncie wykluczał możliwość palenia w piecu centralnego ogrzewania, co skutkowało wszechobecnym chłodem, ruszyła do dużego pokoju.

A prosiła. Już od wiosny. Przez całe lato nalegała, żeby wziąć się do tego komina. Latem był odpowiedni czas. Latem nie trzeba było ogrzewać domu. Niestety, wyszło jak zwykle. Kiedy ostatni termin minął, zabrano się do robót.

W październiku! Bo na ważniejsze rzeczy był czas! Na komin nie było czasu! Żeby cię szlag nagły trafił! Wynoś się! Wynoś się, bydlaku!

Dopiero w pokoju rzuciła wór na podłogę, chwyciła go za rogi, wysypała z niego całą zawartość i otarła mokrą od łez twarz.

Były to bardzo dobrze zachowane, choć ze śladami czynnego użycia egzemplarze czasopism w liczbie sztuk czterdziestu ośmiu, systematycznie nabywane i pieczołowicie uzupełniane od ponad

dwóch lat. Znaczną przewagę liczebną miały dwa tytuły. Pozostałe były najwyraźniej sporadycznie kupowane i, w przeciwieństwie do tamtych, znacznie mniej wyeksploatowane.

Pierwszą myślą, jaka przyszła kobiecie wtedy do głowy, było załatwienie formalności, bo tak można było nazwać następstwa długoterminowego postępowania Błażeja.

Wiadomo ogólnie, co nakazuje zrobić Pismo, jeśli twoje prawe oko jest powodem grzechu albo oko lewe. Ponieważ małżonek Malwiny, który przecież okiem, zarówno prawym, jak lewym bez wątpienia grzeszył od co najmniej dwóch lat, wciąż miał niewyłupane parszywe źrenice, znaczyło to, że przynajmniej trzy ostatnie śluby złożone przed Najwyższym najpewniej złamał.

Śluby złamane są nieważne.

Gdy chodzi o ślub wierności, nie można było stwierdzić jego cielesnego złamania, ale zaprzeczyć też się nie dało, a ponadto tu również przychodzi na ratunek wzmianka o grzeszeniu okiem, jako grzechu nie mniejszym, a co do takiego, dla odmiany, istniały dowody.

Ślub trzeci i czwarty, jeśli przyjąć kolejność ich wypowiadania, zostały złamane niezaprzeczalnie. Kobieta czuła się oszukana i kompletnie opuszczona. Czuła się również zwyczajnie zdradzona. Wielokrotnie zdradzona. Tak więc spakowała posiadane rekwizyty do dużej, czarnej torby, ubrała się ładnie i udała na plebanię, gdzie, nie bez nerwów, a jednak logicznie i spokojnie przedłożyła sprawę oraz zebrane dowody rzeczowe księdzu proboszczowi, który przyjął ją przyjaźnie w swoim gabinecie, licząc widocznie na zamówienie mszy lub innej posługi, co wiąże się z odpowiednią ofiarą.

Duszpasterz w średnim wieku był wyraźnie rozczarowany brakiem nadziei na mniejszy lub większy datek oraz zdecydowanie zakłopotany widokiem przedstawionych okazów pokrywających teraz niemal całą powierzchnię jego biurka.